

Pilecki, Polański, Probosz...

Z Markiem Proboszem – aktorem grającym po obu stronach oceanu, reżyserem, autorem książek, scenarzystą, profesorem aktorstwa na Uniwersytecie Kalifornii w Los Angeles, rozmawia Mirosław G. Majewski.

Mirosław G. Majewski: – *Panie Marku, kiedy pierwszy raz pojawił się pan na ekranie?*

Marek Probosz: – To były „Zmory” Wojciecha Marczewskiego (1979), ciekawostką był fakt, że odwoziłem młodszego brata Adama na lokacje tego filmu, gdyż miał zagrać mojego starszego brata Piotra w czasach młodości, no i reżyser mnie wypatrzył, zaproponował abyśmy wszyscy trzej zegrali w jego kultowym już dziś filmie. Adaś był naszym etatowym rezerwowym, zagrał również mnie w młodości, w innym filmowym klasyku „Niech cię odleci mara” Andrzeja Barańskiego.

– *A w jakim filmie po raz pierwszy zagrał Pan główną rolę, i jak to było być „synem” Bronisława Pawlika w wspomnianym „Niech cię odleci mara”?*

– Jedną z głównych ról zagrałem już w „Tangu Ptaka” Andrzeja Jurgi (1980), ale za pierwszą główną rolę uznaję „Niech cię odleci mara” Andrzeja Barańskiego (1982). Byłem wtedy po pierwszym roku studiów w Łódzkiej Filmówce, pamiętam, że zdjęcia próbne odbywały się podczas wakacji, przyjechałem na nie aż z rodzinnych Beskidów. Wszedłem do biura castingu w niebieskich tenisówkach, które kupiłem sobie w Czechosłowacji, wszystkim się bardzo spodobały. Buty to bardzo ważna część garderoby w zawodzie aktora. Film wyróżniony został nagrodą Krytyki Filmowej, Syrenka Warszawska 1983. Współpraca z filmowym ojcem, znakomitym aktorem, Bronisławem Pawlikiem, była dla mnie wielką ucztą i lekcją organicznego aktorstwa. Broniek nie tylko wymagał ode mnie synowskiego posłuszeństwa, ale obdarowywał mnie też bezgraniczną troskliwością, np. chodziliśmy razem w przerwach weekendowych do kina, pamiętam jak oglądaliśmy w pustej sali w Łodzi „Nóż w wodzie” Polańskiego. Pawlik był bardzo spontanicznym aktorem, wybuchowym cholerykiem, z sercem wrażliwego poety, mam wiele anegdot z naszej współpracy, pozostaną mi w pamięci na całe życie.

– *No właśnie, miłośnicy filmu kochają anegdotki z planu, czy ma pan taką ze swoich wcześniejszych ról, jeszcze z lat 80-tych?*

– Na przykład zdjęcia do „Niech cię odleci mara” mieliśmy w małym miasteczku pod Łodzią. Miejscowe dzieciaki dowiedziały się o filmie i uciekły ze szkoły. W przerwie na obiad ustawiła się do nas ogromna kolejka maluchów po autografy, większość z nich nie miała ani ołówka, ani kartki papieru. Mnie to nie przeszkadzało, ale Pawlik w pewnym momencie nie wytrzymał, złapał kolejnego łowcę podpisów za ucho i ostro podciągnął go w górę: „A

czy ty, chociaż wiesz nicponiu jeden, jak ja się nazywam?”. Malca zatkało, nawet jakby wiedział, nie był w stanie wydukać ani słowa. Mój filmowy ojciec puścił mu ucho i klepnął go po spoconej z przejęcia głowie: „To spadaj do mamy i się dowiedz! Nie waż się wracać dopóki się nie nauczysz o czyj autograf prosisz!” Chłopiec puścił się biegiem przez rynek wśród śmiechów zebranych dzieciaków. Tego dnia Pawlik miał już spokój z autografami.

– *Przejdźmy teraz z prowincjonalnego miasteczka pod Łodzią do Hollywood, jak to się stało, że znalazł się Pan w Los Angeles?*

– Moja kariera zawodowa w Europie wschodniej rozwijała się znakomicie, na kilku lat przed emigracją grałem już tylko główne role w kinie, teatrze, telewizji. Moje czechosłowackie filmy zdobywały nagrody na festiwalach w Cannes, Karlovych Warach, San Sebastian. Zaczęłem z dużym sukcesem reżyserować w teatrze, moja współczesna adaptacja „Salome”, w której również zagrałem główną rolę, uznana została przez krytykę czechosłowacką za najlepsze przedstawienie roku 1986. Zaproponowano mi reżyserię „Przemiany” Kafki w operze w Brnie, napisano specjalnie dla mnie libretto, w niemiecko-czeskim filmie miałem zagrać Mozarta. Ale zdawałem sobie sprawę, że sukces zawodowy to nie wszystko, że świat iluzji, w którym spędzałem większość swojego czasu, to nie rzeczywistość, w której żyję, po wyjściu z teatru, albo po powrocie do hotelu z filmowego planu. Zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę, Grzesia Przemyska, rozbito nasz Niezależny Związek Studentów, liderów Solidarności aresztowano. Świeża krew na ulicach i społeczna depresja były zjawiskiem codziennym. Nie mogłem się dłużej oszukiwać, kiedy nadarzyła się pierwsza okazja, podjąłem życiową decyzję zakupu biletu w jedną stronę. To był skok w przepaść, w nieznaną. Porzuciłem karierę, rodzinę, dom. Nie było internetu, komórek. Wybrałem wolność, mimo tego, że zdawałem sobie sprawę, że będę musiał zaczynać wszystko od zera, że mogę za ten wybór zapłacić najwyższą cenę.



– *Ale jednak oplacało się. Zagrał pan Romana Polańskiego w filmie „Helter Skelter”,*

myślę, że nie tylko ja nabrałem się na czarno-białą quasi dokumentalną wstawkę, czy może Pan powiedzieć o tym coś więcej?

– Ta rola była dla mnie wielkim wyzwaniem, Roman Polański to nie tylko genialny reżyser i świetny aktor, ale żyjący rodak i absolwent tej samej Łódzkiej Filmówki, którą ukończyłem. Czulem spoczywającą na mnie odpowiedzialność, bo przyszło mi się w niego wcielić w najbardziej dramatycznym okresie z jego życia, kiedy to w 1969 zamordowano mu żonę, dziecko i przyjaciół. Przeczytałem i obejrzałem wszystko, co było dostępne w Hollywood na temat Polańskiego, Sharon Tate i bandy Manson. To co wtedy przeżył, z czego się pozbięrał jako człowiek i artysta, który dalej niezłomie tworzy swoje filmowe arcydzieła, jest godne podziwu. Wiedziałem, że nie mogę popełnić najmniejszego fałszu, stałem się prawdziwym ekspertem od Polańskiego, na planie nikt nie mówił do mnie inaczej niż „Roman”. Jednak największy komplement spotkał mnie w dniu hollywoodzkiej premiery, reżyser John Gray powiedział mi w kuluarach „Marek, muszę ci powiedzieć największą pochwałę jaką aktor może usłyszeć, miałem przedpremierowy pokaz filmu dla studentów reżyserii na Uniwersytecie Kalifornii – USC, po projekcji podeszli do mnie z wypiekami na twarzy i wypytywali o twoją scenę konferencji prasowej w LA, powtarzali w kółko, „jak udało się panu zdobyć te dokumentalne materiały z Polańskim, jak otrzymał pan od niego zgodę, ile studio musiało za to zapłacić?”. Wyobraź sobie, że nie zorientowali się nawet, że to wszystko twoje aktorstwo!”. Opinie studentów potwierdziły dalej świetne recenzje w The New York Time, Hollywood Reporter czy Variety.

– *Przejdźmy teraz to filmu o enigmatycznym tytule „Y.M.I.”...*

– Mój amerykański debiut fabularny „Y.M.I.” („Dlaczego jestem”) jest historią o amerykańskim fenomenie społecznym, problemie samobójstwa? Kiedy moja żona zaszła w ciążę z naszym pierwszym dzieckiem, jako przyszły ojciec zacząłem się głęboko zastanawiać nad światem, na który sprowadzam swoje maleństwo. Obłożyłem się wszelkiego rodzaju literaturą na temat dzieci i młodocianych. Po pewnym czasie dotarł do mnie horror, że przyczyną śmierci numer jeden wśród młodocianych w USA było samobójstwo! Od chwili tego odkrycia, nie mogłem zaznać spokoju, starałem się dotrzeć do genezy tego przerażającego zjawiska. Wreszcie postanowiłem napisać na temat tego „tabu” scenariusz, z myślą rozpętania szerszej dyskusji i dotarcia do masowego

(Dokończenie na stronie 4)